

A. Nowaczyński Adam Mühl  
w Wielkopolsce



W یاد. liter  
1935 27 poz. h.

# Adam

# Mühl w Wielkopolsce



## W ŚMIEŁOWIE

Ubiegłego lata w Śmiełowie w pałacu państwa Chełchowskich gościli już wedle nowej kryzysowej anormalnej mody normalni pensjonariusze, letnicy.

Śmiełów, to w Wielkopolsce w powiecie wrzesińskim (wrzesińskim?) ongi wielki rentowny majątek, wyjątkowo w pięknej okolicy położony. Dokoła lasy. Śliczności park, przez który przepływa rzeczka Lutynia. Bardzo ładny szeroki wjazd z dużym klombem. Dwa skrzydła pałacu nie przymierzając w minjaturze Wilanów. Fasada z czterema kolumnami i greckim trójkątem, gdzie mogłoby być oko Opatrzności czuwającej jeszcze nad ziemianami... W pałacu freski pendzla „samego” Smuglewicza, wspaniały okrągły salon, meble wszędzie autentyczne, starodawne, najlepszego gustu i smaku. Dużo gościnnych pokoi w skrzydłach i na pierwszym piętrze.

Wśród tych pokoi jeden uroczysty na pierwszym omal nad wejściem, blisko kolumn, otoczony czcią i rozciekawiający już trzecią generację, rzecz prosta, zamknięty i nie do wynajmowania dla gości. W parku dęb na polanie, też specjalnem nabożeństwem otaczany i adorowany, a pod dębem, rzecz prosta, ławeczki: „świątynia dumania”.

Gości z miasta trzeba już było dopuścić, bo nie można sobie było poradzić inaczej. Że ten majątek pozostał nadal w tych godnych kulturalnych rękach a nie poszedł na subhastację, licytację, parce-

lację czy jak się to tam nazywa, to chyba cud boski i szczęśliwy skład okolicznościów. W krytycznym momencie, kiedy już groziła utrata, znalazł się człowiek z najbardziej w Polsce pańską i szcudrobliwą ręką, który po jednym liście desperackim posiadziela, apelującego o pomoc do swego ongi gościa, natychmiast z finansową pomocą pośpieszył i bądźco-bądź narodową do pewnego stopnia pamiętkę przed dewastą uratował. Tylko dzięki J. Ign. Paderewskiemu pozostał Śmiełów w rękach rodziny, pietystycznie do starych pamiętek się odnoszącej, rodziny, w której po staropolsku dzieci kilkanaścioro, a wśród tego girlanda córek w urodzie starających się dorównać słynnie pięknej matce a dziś już i babce. Nawiasem mówiąc, tej to rodziny pradziad, szambelan Stanisława Augusta, z Górki dziedzic Michał Chełchowski, założył illo tempore jedną z pierwszych w Warszawie łóż wolnomularskich („Catherine, pod Północną Gwiazdą”).

W tym sezonie letnim (1935) przeważała wśród gości oczywiście pleć nadobna. Przez pół dnia skwarne lato pono w najwyrafinowańszych pyjamach, tenis, radio, słońcowania, kąpiele, spacer, przejażdżki, rybołówstwo, las, grzybobrania, bridż, dancier, przyjazdy mężów, reperuarowo to co zawsze i wszędzie. Ale i coś nadto. Od czasu do czasu urwany dialog a to o tem sanktuarjum, o pokoju na pierwszym piętrze z oblaurowanem popiersiem nad białym we framudze piecem, a to o poetycznej rzeczce Lutyni, a to o dęb, na którym siadały kiedyś gołębie i skubały mech. Coś tam gościom niekiedy opowiadali dziedzicowie i córki

— Pan Adam Mühl, nowy gubernator dla Antka i Władka...

domu, coś dorzucali goście z miasta, ale właściwie przeważnie musiały się powtarzać i motywy i szczegóły te same, zapewne niezbyt barwne, bujne i obfite, niezaokrąglone, urywane, niedomówień i niedomyśleń pełne, ot jakby przed bramami jakiegoś nieznanego Labiryntu czy tajemniczego Szlamu. Nikt bowiem z obecnych a nawet ze współczesnych nie mógł sobie jeszcze chyba uświadomić w całej rozciągłości jak ważnym punktem na mapie intelektualnej Polski jest ten dwór i ten ogród i ta rzeczka i ta wieś i te lasy i ten krajobraz, ładny ale nie z takich znów pięknem aż wzruszających. A jednak!

A jednak z tym z dworem pańskim, ziemiańskim i z jego dawnymi posesjonatami i z ich krewniakami i przyjaciółmi i sąsiadami związany jest pewien epizod w dziejowości kultury polskiej bardzo ważny, bo przyjazd a potem w tych okolicach, na tej ziemi osmiomiesięczny pobyt największego raz i na wieczne czasy pisarza polskiego, podczas którego to pobytu musiały zrodzić się już załęki dwóch największych arcydzieł literatury ojczystej, a który to pobyt osmiomiesięczny w dalszych swych ogniowych konsekwencjach wywołał tegoż poety polityczne działania i aktywne interwenjowanie dwukrotne, t. j. legion polski we Włoszech w r. 1848 i legion drugi w r. 1856.

Aby to udowodnić, rozstajemy się i żegnamy z dzisiejszością a cofamy w przeszłość o lat sto cztery wstecz w te same okolice, krajobrazy, dwory, sąsiedztwa.

## KAPUAŃSKA SELANKA

Jest lato, sierpień r. 1831, Śmiełów.

Na dworze tak samo skwarno, we dworze tak samo gwarno.

Przed pałac pod kolumny zajeżdża w powozie dwóch młodych jegomościów w szarych cylindrach w podróżnych pelearnikowych rajzamentach. W oknach rozciekawione panie, panny, chłopaczyska i dzieciśka. Psy czekają. Służba ściga z kozła sakwojaże czyli tłomoki. Podróżni zakurzeni wchodzą, a dumny ze swego towarzysza Xawery Bojanowski z Konarzewa (pod granicznym od Niemiec Rawiczem) prezentuje specjalnie głośno i dobitnie, żeby garderobiane słyszały:

Wskazy zebrani udają że w to wierzą. Tak ułożono przedtem i ukartowano. Incognito. Dobra Gorzeńskich-Ostrorogów leżały blisko granicy tej nieszczęsnej Kongresówki, po drugiej stronie za Proszą zaraz Pyzdry. A cała granica obstawiona wojskami z Niemiec. Dwa korpusy inwigilacyjne i wzmocnione straże policyjne czuwały niby dla zapobieżenia przywleczeniu „cholera morbus”. Patrole konne penetrowały okolice i zagładały z wizytami do szlacheckich dworów. „Chcąc ująć baczności policji pruskiej, przybrał wówczas nazwisko Mühla, pod którym bał w Śmiełowie, a jeszcze w listopadzie i grudniu (ostrożności zbyt!) każe sobie listy pod tem nazwiskiem adresować”. Że maskarada była jednak wskazana, przekonano się potem, kiedy w czas gościny Mühla u Taczanowskich do ich Choryni zjechał z asystą zbrojną landrat Liebeskind, wespół z autorem „Konrada Wallenroda”, gdzie tu pono wśród obywatelstwa ukrywanym czy się ukrywającym.

Właścicielem Śmiełowa była sto cztery lata temu inna familja obszarnicza, wysoko się nosząca, Ostrorogi-Gorzeńscy. Mieli na swoim drzewie i wojewodów i przedewszystkiem pierwszego poznańsko-gnieźnieńskiego arcybiskupa z imienia Tymoteusza, no i wogóle parantele i koligacje first class. Jeden z nich, niedaleko w Jarocińskim, posiadał Witaszyce, z Turnianką ożeniony Michał, aż w Meksyku... poległ. Właściciel Śmiełowa, późniejszy długoletni deputowany Hieronim, z dziedzicznego szczęsnego obciążenia był w połowie agrarjuszem a w połowie militarystą-wojakiem, gdyż przebył całą epopeję napoleońską w części jako adjutant marszałka Davout, o czem jako wszystkie napoleończyki opowiadać lubiał bez wstydzenia, szczególnie chyba o królu Hieronimie dykteryjek kopami, jak Henryk Rzewuski o Radziwille, o Niesiołowskich, Siemradzkich, Horeszkach, Orzeszkach, Sopicach, Czaplicach. Piękna pani małżonka de domo Bojanowska już się tych epopejek i anegdotek oczywiście nasłuchała aż do zdudzenia (do mgłosci), ale każdy nowy gość musiał znów cały worek da capo al fine. Tak samo chyba i ten pan Adam Mühl, którego tu przywiózł brat dziedzicki Ksawerek, gorączka (Rejent...) Konarzewa posiadziciel. Drugi brat Kalikst, powaga (Asesor...), ożeniony z Serafiną Potworowską, gospodarzył w Krzekotowicach i ten „pana Miczkiewicza” (tak wymawiano w onczas) nie znał. Ksawerek zaś znał, znał z Berlina jeszcze, gdzie w większej polskiej kompanji z Li-

beltem, Garczyńskim, Cybulskim, Moraczewskim chadzali na prelekcje przesław- nego Hegla, heroicznie walcząc z lechickiej, rycerskiej młodzi notoryczną do abstraktu i absolutu awersją oraz ze... spiączką.

Wedle ułożonego między panami planu, gubernier Mühl po dwóch trzech dniach wypoczynku (przybywał przecież z Paryża) miał, nie zaczynając nawet z elewami lekcyj, zaraz jechać dalej, aby przekraść się przez zieloną granicę, przepłynąć Prosnę i znaleźć się tam gdzie wszyscy, wszyscy młodzi:

Niech do boju każdy biegnie:

Piękne tam skonanie.

Na jednego, który legnie,

Stu mścicieli wstanie!

Jak ukartowali szwagrowie (dziewierze po poznańsku), Xawery z Hieronimem, tak się też zrobiło, tylko tak jakoś po dziwnemu. Chodziło o to, aby się dostać do nadgranicznego folwarku Komorza i tam pana Adama Mühla zostawić, a już Gutspächter Florkowski, specjalist, zajmie się przeszwarcowaniem, jak bywało. Przekradało się przecież tylu młodych magnatów, odniedawna hrabiów, profesorów, generałów, majorów, księży (30), kłeryków, dezertów z pruskiej landwehry, z jednego tylko gimnazjum poznańskiego stu sztubaków z katechetą księdzem Logą. Coprawda na inaczej jakoś się przekradali. Panie namówiły na karetę. Pojechali tedy do powstania i na wojnę powozem: dziedziczka, dwóch synków Ostrorogów i niezjaka panna Markiewiczówna. Ta zaś panna Markiewiczówna opowiadała to potem po latach literatowi Kanteckiemu a literat nie miał co lepszego do roboty jak to spisać i wypisać, a od Kanteckiego przepisywali potem i inni.

Rzeka Proсна była wtedy wezbrana, pan Adam Mühl nie umiał pływać, pełne zwierza bory, i landwehry pruskiej waleśało się moc i zaczępało razporaz jadących. Wobec takich impedimentów zdecydowano się cofnąć, wrócić, odłożyć aż za kilka dni ad feliciora tempora, nie przewidując zapewne, że to będzie ad calendas graecas.

## WYPAD NA SMORGONIE

Otóż ze stanowiska biografów-hagio- grafów i historyków literatury, traktujących rozdziały naszej poezji romantycznej a to jako Gemara Misznę, a to jako herbarz (almanach gotajski) literackiej wysokiej szlachty-dynastów a to jako Mon-

salwacz, Sinaj, Ararat, byłoby i poręczniej i dogodniej, gdyby tej eskapady z paniami i dziećmi w powozie wcale nie było. Wtedyby, tylko wtedy można ekskuzująco-pedagogizować: „nie poddał się atmosferze warszawskiej” (sic!), był zasadniczo przeciwny, jasnowidział bezowocność wysiłków, „co innego podczas wojny rosyj-

sko-tureckiej trzy lata temu” i t. p. Gdyby tej jazdy w powozie na wojnę nie było, ocalałby dogmat gzegetów, że wieszcz, każdy polski wieszcz, a już Mickiewicz stanowczo, tak jak tylko jeden papież, we wszystkich poczynaniach jest infallibilis! Wieszcz dostąpił beatyfikacji i basta. Co tylko uczynił i co tylko rytmem lub rytmem powiedział jest nietykalne, tabu. Wycieczka atoli ku granicy, do Komorza, i powrót z paniami i dziećmi i odłożenie aż za kilka dni — cały ten rozdział w biografii nieprzyjemnie komplikują. Epizod jest i pozostanie obciążający, ze stanowiska obywatelsko-państwowego obciążający, żadnymi pospolitemi argumentami dialektycznymi prościnkowej sofisteryj wybronić się nie da.

Wobec czego zakłopotane augury tautu omnium consensu zdecydowali się na to co najłatwiejsze, na conspiracy du silence. Przeskakują, nabrawszy wody do gęby, i jadą dalej. Przemilczają całe osiem miesięcy może i najważniejszych w przeżywanu, w dojrzewaniu, w procesie pierwszej krystalizacji, właśnie wtedy obmyślanych na olbrzymią skalę planów twórczych. Chmielowszczyzna czy tarnowszczyzna i jej epigonerja, natknąwszy się na stromą ścianę, poprostu obeszła ją sobie dokoła. Czegoś się tam pastory literatury przestraszyły i przeproszyły. Coś tam dewoty wolnomysłne przeczuwały czy przewąchały niezbożnego czy nawet zdroźnego, a w każdym razie skomplikowanego i gordyjsko-węzłowego. Jak to pogodzić i zrymować z „Oda do młodości” i młodzieży podać do strawienia? W mózgach a przeważnie w łepetynach pedagogów, pedamagogów i pedademagogów, jeszcze brodatych choć już nie zatabaczonych, nigdy nijak pomieścić się nie mogło, żeby Hetman, Prorok, Pielgrzym, zstępujący z Monsalwacz, mógł się po ludzku, po człowieczeńsku potykać, i to nawet ciężko. O tej możliwości i ewentualności augury trzech generacyj nawet słyszeć nie chciały. Jak Mojżesz to Mojżesz zawsze z dwoma w górę sterczącymi promieniami z głowy, a bez cudotwórczego kostura ani rusz. Niepomni tego, że Piotr nawet na świętego awansowany był, choć się zaparł nim kur zapał, Piotr opoka!

Niezdolni są belfrowie organicznie do uświadomienia sobie tego, że byronizm wyrósł pod obłoki aż tak wysoko dzięki kazirodczemu stosunkowi, adulterji wieszczą z przyrodnią siostrą, że Goethe pozostaje Montblanem mimo tego, że jak się okazało, był najgorszym mężem, ojcem i... Niemcem. Jak tu było i poco dysputować z Pierre Chmielowskim i podobnymi Pierre Nickami o błogosławionych owocach alkoholizmu Poe'go? Jak tu tłumaczyć profesorowi Szczerackowi, docentowi Zuckeinerowi lub doktorce filozofji z Kurków Burkowej Kunegundzie, że kiła, czyli lues alias syfilis kilka wysoce predysponowanych mózgów przekształciła na lucyferycznie genialnych twórców? Tak samo też niema sposobu, aby przekonać, uprosić lub zmusić prostaczków i szaraczków, którym czteroletnie ślęczenie seminaryjne i biblioteczne dało w ręce dyscyplinę naukową, metodologję, technikę, doktorat, lektorat i veniam legendy, aby przestali zajmować się problemami przestajacemi ich sprawność przyczynkarską (detologję), aby przestali tuszować, retuszować, zamazywać, zatajać, zaczem i fałszować. Niema żadnych prawd, których mędrzec nie mówi nikomu. Jedną zaś z tych prawd jest, że Monsalwacze, Wieszcze, Prorocy, Pielgrzymi też bywali młodzi, że nie odrazu rodzili się z brodami i z aureolami, że mogli błądzić, brnęli po pas w gaffach i głupstwach, że dopuszczali się rzeczy i przykrych i brzydkich i że pomimo tego niezależnie od tego, a niekiedy właśnie dlatego to dopiero defekta i delicta i manca i mankamenta w ogólnym rozrachunku, w finalnym rezultacie okazywały się właśnie podłożem podniet twórczych najważniejszych i głębią pod arcydzieła! Arcydzieło zaś czy arcydzyn daje sankcję warunkową nawet małodusznościom, nawet małostkom, nawet...

Tak też jest in casu Adam Mühl...

### PÓJŚĆ CZY NIE PÓJŚĆ?

Wracamy teraz do Śmielowa. Pewnego wieczoru sierpniowego 104 lat temu wracała tedy karetą z Komorza z młodym poetą, z paniami i z dziećmi. Nie do pozazdrośczenia żalonna sytuacja i mina tego co się do powstania wybierał i dojechać nie mógł. Drugi raz już w stronę Kongresówki nie jechano i koni nie zaprzęgano. I tak już został w tych okolicach kapuańskich aż osiem miesięcy. Przez sześć miesięcy od nocy listopadowej jechał z Rzymu via Paryż do Wielkopolski, aby w lipcu znaleźć się w Lipsku a w sierpniu wreszcie w Konarzewie u Bojanowskiego. Od

listopada aż do marca czekał w Rzymie aż mu odda pieniądze pożyczone przyjaciel Moskal Szymon Chlustin (brat uroczej pianistki Wieroczki), aż wreszcie gotowiznę na wojaż i wymarsz dostał od Garczyńskiego. Śpieszyć to mu się tam najstanowczej nie śpieszyło. Ale jednak do Komorza i komory dojechał, aby ostęcznie się cofnąć. Gdyby całkiem nie ruszył w drogę czy z Rzymu czy z Paryża, wszystko byłoby w porządku. Tak zaś nie jest w porządku, skoro nie kto inny a on pisał:

Wszak Polak tem między narodami  
słynny  
Że ponad wszystko kocha kraj rodzinny.

I on też pisał: „...gdzie tylko w Europie jest ucisk wolności, i walka o nią, tam jest walka o Ojczyznę, i za tę walkę bć się wszyscy powinni”.

Mógł jednak nie iść i nie jechać. Byli tacy co nie poszli. Poszedł wprawdzie syn Napoleona kapitan Walewski i poszedł margrabia Wielopolski. Z księży poszło 160 i to jeszcze dalej, bo aż na Sybir, który wtedy nie był Syberją z czasów Sieroszewskiego. Z samej Wielkopolski uciekło „klechów” 33 mimo surowego listu pasterskiego („przeciw podszeptom”) arcybiskupa Dunina, późniejszego więźnia w kazamatach królewieckich. „Gdy naród do boju wystąpił z orężem”, pierwsi oczywiście ochotniczo stawili się pisarze, a więc Berwiński, Bernatowicz, Garczyński, Libelt, Pol, Hoene-Wroński, Trentowski, Cybulski, Witwicki, dwóch Koźmianów, Jędrzej Moraczewski z bratem, Maurycy Mochnacki z Kamilem i pomniejsi. Z Wielkopolski moc szła młodych ludzi o nazwiskach niemieckich... gente Germani.

Ale jednak wielu ważnych i ważkich, którzy potem wielkie role grali, nie poszło. Na ten przykład dziedzic z Antoszwiniec na Litwie, Andrzej Towiański, chłopów swoich ciemiężyciel a później Rasputin emigracji paryskiej, nawet kontr-agitował i „odwodził” (Wańkowi-cza). Nie poszli też z piszących Henryk Rzewuski, kompan z Krymu i z Rzymu, nie poszli dwaj najbliżsi wieszczą przyjaciele Ant. Edw. Odyniec i Aleksander Chodźko, zresztą stale pozostający na carsko-rosyjskiej służbie, konsul w Persji. Można więc było nie pójść i zostać i przeczekać. Filomaci i filareci przeważnie poszli, ale jeszcze przeważniej poszła młodź z Wielkopolski, poszli niedawno wypuszczeni z fortec członkowie różnych tajnych organizacyj („Kosynierzy”); z ber-

lińskich znajomków, gheglistów, panteistów kilku zostało. Ale większość poszła.

Kiedy więc się w sierpniu rozeszło po okolicznych dworach, że u Gorzeńskich w Śmiełowie zatrzymał się jeden z naszych sławnych co nie poszedł, a przecież i poeta i patriota chyba bez pochyby i przyniany, zaczął się odrazu zjazd pań i panów i zapraszania na wszystkie boki i strony. Wiedzano dobrze, kto zacz i jakiego kalibru może nawet więcej niż w reszcie Polski i gdzieindziej, w każdym razie o sto procent więcej niż w Galicji. Antykrzyżacki „Wallenrod” otworzył mu serca Wielkopolan, „Grażyna” — Wielkopolek. Już w r. 1828 rozeszło się tu po całym ziemiaństwie pierwsze kompletne wydanie poznańskie. I tu z Poznania szli pierwsi apostołowie, dotychczas mało znani i uznani apostołowie, Józef Muczkowski, Józef Królikowski, Edward Raczyński, mecenas, hrabia i uczeniec, oraz Muncł, księgarz, Żyd i patriota.

Najbardziej rozciekawiona i zaintrygowana i najniecierpliwiej momentu poznania oczekująca musiała być, oczywiście, ta którą nazywano „naszą panią Staël”.

Dziedziczka z Budziszewa (pod Rogoźnem) była najrodzszą siostrą pani Antoinetty, dziedziczki Śmiełowa. Druga Bajanowska z domu, odznaczała się urodą jeszcze wabniejszą od pierwszej. Wyszła zamaż za Łubińskiego nie z hrabiowskiej ministerskiej linii, ale z kalisko-wielkopolskiej, z tamtymi skuzynowanej, ale także bardzo konserwatywnej i arcykatolickiej, co jest ważnym szczegółem wobec bardzo wzmożonego w owych czasach w ziemiaństwie franc-masońskiego indyferentyzmu religijnego. Kontrastowo do tego niektórzy Łubińscy, podobnie zresztą jak Gorzeńscy, Morawscy, Chłapowscy, bywali wogóle więcej ultramontańscy niż sam Ojciec Święty. W Kongresówce trzymali Łubińscy za Lubeckim i za Belwederem, za co ich tak ostro zerznął Adolf Młocki; jeden z nich asystował papieżowi na wygnaniu, inny założył wielką asociację ściśle rzymską i ofensywną. W każdym razie klan Pomianów: pro aris et focis. Bądźco bądź jednak i w insurekcji też udział brali i poszli.

Mąż pani Konstancji, szambelan Józef Łubiński, nie poszedł za „złemi podszepciami”. Napoleończyk, przebył całą kampanię rosyjską z cesarzem, ozdobiony krzyżami. Napoleończycy przeważnie nie dali się „porwać atmosferze warszawskiej” i byli sceptycznie nastawieni co do rezultatów wojny; sami na własnej skórze przekonali się kiedyś o potęgę kolośa na glinianych nogach, więc też i krakali defetystycznie. Józefa Łubińskiego całą energią absorbowały rodzina, proge-

nitura i gospodarstwo rolne. Bądźco bądź dobra były olbrzymie i liczyły pono 5 700 morgów. Było o czym myśleć. Nadto małżeństwo nie żadne jakies z białych małżeństw, jak np. niejacy państwo Puttkamerowie na Litwie (ona... Maryla-Peri) ale normalne i przykładne ubłogosławione trójczką potomstwa żyjącego (dwoje umarło): syn Stanisław, który przeniósł się potem do Galicji, syn Bogusław, dziedzic Kiączyna, który dorósłszy, odegrał dużą rolę w życiu politycznym Księstwa, wreszcie córka Marja, chrześniaczka Mickiewiczza, będąca potem żywym ogniwem łączącym Budziszewo z Mickiewiczami, późniejsza pani Wierzińska, której córka, pani Dobrzycka, pierwsza z rodziny właścicielki ustosunkowała się pozytywnie do pamięci i tradycji babki. Tak wyglądało więc to ultrakatolickie i dawnego autorkamentu gniazdo szlacheckie, z którego wyszła ta Korynna, ta Lelia, ta Indiana, ta... Nora (Ibsen) pani Konstancja. I tak prezentowały się rodzinne stosunki w ważnym biograficznie Budziszewie. Już bowiem w pierwszych dniach września za-

proszony przeniósł się Adam Mühl ze Śmiełowa, aby być bliżej intelektualistki i sawantki, „naszej pani Staël”.

## FORTELE PURYTANÓW

W interpretacji archipastora historii literatury ad usum Delphini przedstawia się ta ośmiomiesięczna Kapua w ten desę społeczno-narodowo-pedagogiczny: „za pośrednictwem Wielkopolan dowiadywał się o usposobieniu ludności w Prusach polskich i na Śląsku”... (???) „zetknął się z masami szlachty i ludu”... (???) „...z natury ówczesnego położenia”... „prowadził rozmowy”... „dotykał kwestji najżywoźniejszych dla narodu”... (???) „co w rezultacie dało „zasilenie nowym dopływem nurtu patriotycznego” (???) i „wywarło wpływ na wyrobienie charakteru” (???)

Oczywiście, co słowo to nic, to dym, to kadzido, to konwencjonalne kłamstwo, frazes, dętologia. Ponieważ atoli nawet w takich literackich „Wieczorach pod Lipą” nie można było ominąć lub wykreślić szczegółu, jeżeli już nie ważnego to w każdym razie najważniejszego, przeto przepisując i persylując z Kanteckiego, podaje Piotr Chmielowski, demokratata wszystkich Gallenbachów i Zukleinerów, fons unica dr. Kunegundy z Kurków Burkowej, co następuje, conieco po tarnowsku a nieco po filutersku: „najchętniej i najczęściej przestawał z Konstancją Łubińską”... Poczem przestając najniepotrzebniej z Mickiewiczem zamiast z Sy-

rokomią, Grozą, Sową, Pługiem i Deoty-  
mą, dodaje Chmielowski: „na wrażliwy  
(wrażliwy!) umysł poety i ta przelotna  
fantazja (fantazja!) wpływ podobno miała  
znaczący”. Przelotny i ...znaczący...

„Dla uniknięcia podejrzenia spotykali  
się w Konarzewie pod Rawiczem”.

Taki pogląd na tę sprawę przeznaczonego  
arcyfilistra i edukatora liberalniczej ge-  
neracji przeszedł w spadku na falangę a  
raczej brygady bakalarskie, na wszyst-  
kich znanych i cenionych Przyczynkie-  
wiczów, Wpływakowskich, Wieszczo-  
kłę-  
tów, Zukleinerów i na Seminaryjki.

Byk na byku siedzi i bykiem pogania.  
Błąd na błędzie.

W żadnym Konarzewie nigdy się ani  
nie spotykali ani nie „przestawali”.

Nie żadna przelotna i nie fantazja,  
gdyż przyjaźń z Konstancją Lubieńską by-  
ła najbardziej constans w całym życiu  
Mickiewicza i jak o tem świadczy druko-  
wana (a więc przystępna i fachmanom)  
korespondencja, t. j. 25 listów (Ludwik  
Merzbach, Poznań 1863) i 5 listów (Lu-  
dwik Posadzy, Poznań 1924), przetrwała  
z interwałami wszystkie miłości i przy-  
jaźnie i miłostki, przetrwała małżeństwo,  
towianizm, deiblizm, 48 rok i dociągnęła  
się omal aż do samej śmierci; ostatni dru-  
kowany list jest z 26 lipca, sądząc z tek-  
stu z r. 1855. Zaczem: „przelotna fanta-  
zja” od sierpnia r. 1831 do sierpnia r. 1855.

Pozostaje teraz do rozwiązania zagad-  
ka: w jaki to sposób tajemniczy a kuz-  
sztowny mogła tak długo pozostawać w  
cieniach zakonspirowanego zatajenia po-  
stać nietylko pierwszoplanowa w życiu  
ale jedyna serjo postać niewieścia w ga-  
lerji kobiet mickiewiczowskich? Dlaczego?  
Dla kogo? Z jakiej przyczyny? Gdzie  
są racje?

Jak mógł uchować się i rozrosnąć do  
koszmarnych rozmiarów taki skandal nau-  
kowy, dyskredytujący w puch naszą „wie-  
dzą polonistyczną”.

Otóż takowe przyczyny i racje dadzą  
się jednak odszukać, odcyfrować, zareje-  
strować, przed forum i przed areopag  
wytoczyć.

Przedewszystkiem nie życzyła sobie  
ekshumacji pani Prudencjanna Wielko-  
polska. Poczem jej rodzina bliższa i dal-  
sza i jej dzielnica, nadal żyjąca sobie  
dzielnicowo, po swojemu, antiquo modo.  
Zacna kanoniczka Prudencjanna imagino-  
wała sobie bowiem, że z tego znów wyjdzie  
jakiś nowy „duch Adama i skandal”  
(patrz Norwid), że to może „żenować” czy  
„deranżować” cały klan Pomianów, że w  
grobowcach mogą się poprzewracać na-  
znak „szokowani” przodkowie. Ze dalej  
to może zaskodzić karjerze i opinji Wie-

szcza, Pielgrzyma, Proroka a może i...  
Wawelowi. Ze dalej dorastająca obojga  
płci młodź sarmacka różnorodnie a opacz-  
nie gotowa sobie tłumaczyć i komento-  
wać to „przestawianie”, skoro przecież  
sam polonistom pater Pedro Chmielów-  
ski zmuszon był pisać: „dla uniknięcia po-  
dejrzenia spotykali się w Konarzewie pod  
Rawiczem” (patrz mapę! gdzie Rzym?  
gdzie Krym?).

Prawdę bowiem mówiąc, spotykali się  
wprost przeciwnie wszędzie indziej dla  
uniknięcia podejrzenia, ale nie na samym  
końcu świata aż pod Rawiczem.

W Śmiełowie samym państwo Gorzeń-  
scy jakoś nie chcieli nadal patronować  
temu najchętniejszemu i najczęstszemu  
przestawianiu. Sam Ostroróg, mając oczy  
ku patrzaniu i mając w familji prezyden-  
ta apelacji i arcybiskupa, nawet na „prz-  
stawianie” dłuższe i częstsze konsensu  
widocznie dawać nie chciał. Więc zapro-  
szono pana Adama Mühla do Budziszewa.  
Tam chrzciny. W drugiej połowie wrze-  
śnia wiezie go rozradowana, dumna sa-  
wantka do Oporowa i do Luboni do Mo-  
rawskich. Prosił dziadzi, więc musi się  
pochwalić Adamem Mühlem przed przyja-  
ciółką. Jest nią Paulina z Lubieńskich,  
wówczas także sawantka, która jako wzór  
matron polskich (druga obok generałowej  
Chlapowskiej) dożyje do 93 lat, ciesząc się  
„czcią rodaków i miłością wieśniaków”.  
Przy jej boku rezyduje referendarz Mo-

rawski („podkomorzy stuknął w tabakier-  
kę”) Józef, co to i Berezynę przeszedł i  
znał westfalskiego Hieronima i mówił ty  
do tego generała „co go Polska cała”. Te-  
raz zaś był wdzięczny pani Kostusi, swej  
pupilce, Wenerze z Budziszewa, „naszej  
pani Staël”, że mu przywiozła przesław-  
nego literatę, który rad dykteryjek napo-  
leońskich będzie słuchał, także pono na  
filozofji zęby zjadł i teo Lucyfera Hegla  
w becze maziby utopił.

W październiku zaczął się pełny okres  
polowańkowy. Pani Konstancja pilotowa-  
ła poetę po obszarnikach od dworu do  
dworu. Asystował przy pukaninie, choć  
sam był „błahy strzelec”. Tu raz miał w  
rękę strzelbę bohaterskiego generała Pio-  
tra Szebeka z dziwacznym napisem:  
„Sagalas. London (firma) Berdyczów, Ba-  
łabanówka”. Raz u Mycielskich w Dęb-  
nie, raz w Krzekutowicach u brata Kon-  
stancji. I wtedy kłótnia Xawerego z Ka-  
likstem (Asesora z Rejentem). Najdłużej  
u przemitego też gaduły Taczanowskiego  
w Choryni. Tu panowie literaci bywali  
specjalnie mile widziani. Tu znajdują  
schronienie po już ukończonej... wojnie  
Pol. Garczyński i najrodzeńszy brat, naj-



starszy, podporucznik Franciszek „Micz-  
kiewicz”. Potem tu zjadą na dłużej Wę-  
żyk i Syrokomla. Tu pan Adam Mühl trzyma  
do chrztu córkę pani Kasi i Józia, a  
pomagają mu trzymać panny Grabska i  
Hersztupska (nie śmiać się! stary ród).  
Concursus gości znaczny, roztruchany z  
węgryzmem, słynny serwis saski, walą z  
moździerz, polonez, mazur, kujawiaki.  
W listopadzie jest Adam Mühl u Ksawer-  
ka Bojanowskiego aż w Konarzewie, sam,  
krótko, by zaraz najechać Turnów w Ob-  
jezierzu. Tutaj piękna dziedziczka, też sa-  
wantka, patrzy zza wachlarza może z po-  
błażaniem może bez, jak na tle wspania-  
łej biblioteki białokruczej (po Branieckiej  
kolekcjonerce) wdechają do siebie pani  
Staël i pan Adam Mühl. Stąd wrywa go  
pewnego dnia, by mu pokazać swój Łuk-  
ków, hrabia Józef Goetzendorf Grabow-  
ski, późniejszy patron i dobroczyńca prze-  
licznych insurgentów. I tu w Łukowie o-  
siedzie na całe życie brat Adama i tu um-  
rze w 62-im roku i pogrzebion będzie w  
Różnowie jako gracialista i rezydent Grab-  
owskich.

### PRZYMIŁNOŚĆ

Adam Mühl jest w tym okresie sam  
jakby rezydentem. Nie zaraz „Wojskim”,  
bo przecież z tych okolic wielu zostało  
i na wojnę rusko-polską nie poszło, ale  
wojązującym rezydentem. W tej roli nie  
możnaby sobie wyobrazić... kapryśnego,  
grymasnego i zbyt dumnego... Słowackie-  
go. Ten nie miał daru przystosowywania  
się, akomodowania i mimikryzowania, i  
to bez reszty. U Adama Mühla wszyscy  
owocześni wychwalają prostotę, natural-  
ność, powaby, urok, w sumie „przymil-  
ność” no i humor pogodny. A jakżeż to  
chyba trudno było o pogodę umysłu w  
tych miesiącach tak ciężkich, tak cięż-  
kich! Nie trzeba bowiem zapominać że  
właśnie podczas tych fêtes champêtres  
przewalała się Historia. Tu sobie strzelali  
do kuropatw i sarenek, a tam jeszcze wa-  
lono z armat do ludzi, do t. zw. rodaków.  
Wulkan jeszcze dymił, ale już wygasać  
zaczynał, podziemne grzmoty już cichsze  
i słabsze. Do tych okolic, do tego zakąt-  
ka dzielnicowego nie dochodziły zupełnie.  
Tu było pacyfistycznie, pokojowo, sielan-  
kowo, „niech na całym świecie wojna,  
byle”... „wsi spokojna, wsi wesola”... A-  
dam Mühl tonął w tej pokojowości. I nie  
mógł się dość naradować, nacieszyć tymi  
Polakami i Polkami. Właściwie tu po raz  
pierwszy zetknął się i poznawał rdzennie  
rasową, autentyczną, stuprocentową le-  
chickość... kochanowską, czarnoleską.  
Właściwie znał dotychczas tylko Pola-

ków-Litwinów, spolaczonych Białorusów,  
wostoczniaków, kresowców wschodnich.  
Nadto tyle w ostatnich latach naobcował  
się z Rosjankami i z Moskalami i z wiel-  
kemiejską-biurokracją carską (liberalną!  
liberalną!), tyle z kosmopolityzującą ary-  
stokracją najpierw krymską polem rzym-  
ską, tyle z socjety potocznie parlująca po  
francusku (Maryla nawet listy), że tu wła-  
ściwie, w Wielkopolsce dopiero, gdzie  
procent ludnościowy 99 i pół (reszta lan-  
drathy i kupcy w. m.) poprostu pławił się  
w ziemiańszczyźnie i swojszczyźnie, w ga-  
lopującem tempie tracił rosyjskie przywycz-  
ki, odruszczał i żył od całkiem po kocha-  
nowsku. Konno jeździł, ryby łowił, po bo-  
rach z Zosiami i Telimenami chadzał,  
grzyby zbierał, dęby sadił, strzelał, pu-  
dłował, baraszkował. Nanowo czuł się  
generosus, wśród Pomianów Poraj. W alko-  
modowaniu tradycjonalistycznym tak się  
zapędził, że nic tak nie lubił jak reyow-  
ską piwną polewkę a to bigos a to flaki  
a to zrazy i aż się „żalił” że mu gdzieś  
kawę podawano ranną w srebrnych im-  
brykach a nie w glinianych kamionkach  
czy jak tam, i to we wrześniu (7 września  
upadek Warszawy), tak jakby już więk-  
szych zmartwień wtedy nie było.

Trochę także szarżował w religijności  
zbyt pokazowo obnoszonej. „Najchętniej  
i najczęściej przestawał z Konstancją Łu-  
bieńską”, ale Łubieńscy jednak widzieli,  
że się żegnał i modlił przed jedzeniem i  
po jedzeniu, no i upominał o różne staro-  
dawne zresztą przepiękne obyczaje (w  
wilję siano pod obrus!), no i wogóle co-  
nieco dewocji, okazywał się arcywielko-  
polski, czyli mówiąc trywjalnie, „kiedys  
weszedł między wrony, to tak krakaj jak  
i one”. Norwid modlił się godzinami i  
tkwił po kościołach i kłęczał i krzyżem  
leżał bywało, kiedy ludzie nie widzieli.

O tem zelantwie Adama Mühla dużo i  
szeroko potem rozpisywała się w star-  
szych latach nie kto inny jak pani Kon-  
stancja, kiedy Jan Koźmian Mickiewicz-  
owi bałwochwaltwo, odszczepieństwo, he-  
rezjarchstwo zarzucał. Również interesu-  
ce psychologów szczegóły spisał dziedzie  
z Choryni Taczanowski: „Łatwy w obej-  
ściu, pogodny, miły, przystępny”, „rozta-  
czał niezapomniane uroki”. A przede-  
wszystkiem nabożny. Był tedy całkiem a  
całkiem już inny niż ten z Krymu, z Mo-  
skwy, z Petersburga, gość Wiazemskich  
czy Wołkonskich, grający w arcaby to z  
ambasadorem Gagarinem, to z generałem  
de Wittem, teraz właśnie mianowanym  
gubernatorem Warszawy. Już bo szczęśli-  
wie nie potrzebował wdziwiać na siebie  
zielonego czynowniczego fraka, jak na

„bały” u gubernatora Moskwy Golicyna... W szczęśliwie, ratowniczo nadarzonem środowisku wielkopolskich szambelaniców i referendarzy, wśród ex-szwolżerów, siwiejąco wąsatych wiarusów, wśród przyjaciół Kniaziewiczów i Dąbrowskich i w girlandzie pięknych dziewczeczek tracił osad czy nadmiar „wostoczności” i wracał do polskości sielskiej, piastowskiej, kochanowskiej. A „najchętniej i najczęściej przestawał z Konstancją Lubińską”.

A ile razy bywało, że zbyt nerwowo dymił ze swojej lulki mocny tabak turecki („panowie w stolicy”) i ile razy odurzony błądł, zamyślał się, przestawał parlować z damami, odsuwał podawane sztambuchy, nieruchomiał, wpadał w posępne odrętwienie i tkwił zaniemiały w fotelu z obliczem tragicznym, oczami utkwionemi w przestrzeń, posępny, piękny... tyle razy argumentowano mu ze wszystkich stron, jak tam kto umiał i myślał. Nie trzeba bowiem zapominać, że właśnie podczas tego dolce far niente przewalała się Historia.

Więc ci dowodzili jasno, jak na dłoni, że nie można się z trzydziestoma tysiącami porywać na trzystutysięczną armję. Lubińscy prezentowali zasługi Lubeckiego i prosperitas gospodarczą za jego rządów. Gorzeńscy przypominali list pasterski arcybiskupa Dunina (późniejszego męczennika i więźnia w fortecy Königsberg), ostrzegający przed „złemi podszeptami”. Ex-wojskowi opowiadali horrendalia o niedołęstwie, nieuctwie, intryganctwie, kłótniach i żarciach safandufów generalskich:

Chłop-ek nas zawiódł,  
Skrzyn-ka przyskrzyniła,  
Kruk oko wykołił,  
Ryba zatopiła.

No a cóż to za confusionsrath był ten „guter Mensch aber schlechter Musikant”, statysta od siedmiu boleści, ten (bolszewik) Lelewel! A wymordowanie siedmiu generałów nie byłaż to zbrodnia wojąca o pomstę do nieba! A ta straszliwa omyłka z Nowickim zamiast Lewickiego! A ta niewdzięczność Warszawy względem generała Krasieńskiego! A to brutalstwo warszawskie wobec „Burlaka” z Belwe-

deru, który przecież najlepiej chciał, dynastji i Niemcom się naraził a z Polką się ożenił i z Chłopowskimi spowinowacił! A Mochnacki pański adorant? przecież z trudem życie wyratował, bo go już w Klubie ze stołu ściągnęli i chcieli zliczować jako szpiega, agenta, zdrajcę, co dyktatora Chłopickiego („Nasz Chłopicki dzielny, śmiały!”) krytykował, przezywał go cun-tatorem i potępięncze swary szerył. A nie miażło to racji sam Chłopicki, że zgóry w żadną wygraną nie wierzył? A jak się to skompromitował nasz Potworowski, że z awanturą wpadł na dyktatora i go za defetyzm wyszypfował? A potrzebnie to wdał się w to wszystko Chłopowski Dezzydery, szwagier (dziejewierz) Burlaka! Odpokutuje, że listu pasterskiego nie wziął sobie do serca! A co pocznie teraz biedny Umiński generał, co słowo zламаł, z fortecy uciekł i będzie chyba dezercjusz rozstrzelany jak wróci! Książd Loga, ukochany katecheta naszych chłopców, potrzebnie to śluby zламаł, do ułanów poszedł? jeden z pierwszych padł pod Szawłami! Ludwiś Mycielski pod Grochowem! Ileż wdów! Ile sierot. Ile matek w żałobie! Ilu gimnazjastów z Poznania, co w grudniu buńczucznie śpiewali:

Woltyżery, chociaż mali,  
Jednak dość dokonali,  
Bo do sławy, do zwycięstwa,  
Nie trza wzrostu tylko męstwa.

Takich to post factum, post festum (esprit d'escalier) mętnych argumentów musiało się dużo nasłuchać w tych pałacach i dworach sterczących dumnie, od tych różnych ale starszej daty przeznacznych Sarmatów. A już szczególnie od tych, co wzięli sobie do serc wersety z jego „Konrada Wallenroda” i krzyżaka a Prusaka nienawidziliłi stokroć więcej niż pobratymczych Słowian i ich cara, który przecież dał Polakom parlament, konstytucję, armję, komendę polską, koronował się po katolicku, no i jak to ekonomicznie, gospodarczo, finansowo, wysoko podniósł Kongresówkę!

Im więcej atoli w Śmiełowie, Oporowie, Choryni, Konarzewie, Objezierzu argumentowali, dowodzili, przegadywali, tem słabiej te narkotyki i oleje działały. Robak się lęgnął nawet w młodym kwiecie. Zbyt często Adamowi Mühlowi przypominało się, że tych samych motywów i kruczków zaraz po listopadowej nocy w różnych warjantach dialektycznych nasłuchał się już przecież w Rzymie, kiedy się wojna zaczynała, a to na ansamblach u Wołkonskich, a to przy arcabach z ust kniazia-ambasadora, a to od „przyjaciół Moskali” Lievena, Turgieniewa, Chlustinych! Taksamo o „niewdzięczności pol-

skie", o braku dyscypliny w pułkach, o rywalizacjach konkurujących generałów, a to komunizm i jakobinizm i terroryzm swoloczy, gminu warszawskiego... To samo!

## WSTRZAŚ

W grudniu był Adam Mühl po raz pierwszy w Poznaniu z panią Staël czy nie

z panią Staël, to obojętne. Czy stanął w hotelu Saskim u Langnera, czy w Krakowskim przy „Wodnej” ulicy, niewiadomo. Od tego dr. Speraczek. W każdym razie musiał się tu widzieć z grupą swoich adorantów, z wydawcami, z Munckiem, z Królikowskim, z Łukaszewiczem. Napewno był z wizytą w Casino Ziemiańskim, napewno u Raczyńskiego w bibliotece, napewno w cukierni Douchégo, gdzie abonowano francuską gazetę, gdzie były już ciastka „napoleonki” do „chińskiej” herbaty i gdzie zbierali się po nowalje z Warszawy profesorzy gimnazjalni, księża, heglisci, panteiści, ci co nie poszli.

Miasto robiło wrażenie pępne i tragiczne, bo w stanie wojennego pogotowia zostające. Książę-namiestnik, lubownik i protektor Goethego, komponista, kuzyn królów, złamany tem wszystkim Antoni Radziwiłł, już ustał; nie mogło być inaczej, brat Michał był ostatnim wodzem naczelnym „rewolucji”, skierowanej przeciw skuzynowanej z Prusami Rosji. Władzę objął 9 grudnia satrapa Flotwell, generałowie, soldateska, zaczem represje, a wśród Polaków depresje.

Na ulicy Zamkowej musiał Adam Mühl, przechodząc z profesorami w halstutkach, widzieć naocznie to co w swoim pamiętniku opisuje w tych samych dniach w Poznaniu bawiąca córka Marsz-Marsz-Dąbrowskiego, pani Bogusława Mańkowska:

„Było to coś dziwnego i niepojętego, że na pierwszy rzut oka nie można było odgadnąć co się widziało. Wprost, naprzeciwko zakratowanych okien więzienia sądowego (gdzie sąd apelacyjny przy Fryderychowskiej ulicy) stały zwyczajnie ociosane bardzo wysokie dwa słupy w dość bliskiej odległości od siebie, na nich zaś leżała belka, która wyciążała swoje ramiona w lewo i w prawo. Wszystko to miało wyobrażać zaimprovizowaną szubienicę, pod którą stał posterunek, a którą postawiono do wieszania portretów tych Polaków, którzy z wojska pruskiego uszedłszy, przechodzili granicę, aby się łączyć z powstaniem. Rozwieszono tedy były w lewo i w prawo

na belce ich portrety czyli popiersia naturalnej wielkości, malowane olejnymi farbami. Srogi ten widok tem przykrzejszy był, że mimo najokropniejszej malatury można było znajomych poznawać, którzy odmalowani byli według fantazji malarza, jedni w zwyczajnych pruskich mundurach, drudzy w szarych bluzach a nawet i w białych koszulach jak zwykle ubierają przestępców którzy na powiesznie skazani”.

To samo musiał także widzieć i autor „Konrada Wallenroda”...

Afiszę na rogach ulic obwieszczały i zwiastowały erę polskich prześladowań. Tysiąc sześciuset polskich poddanych J. K. Mości szło pod śledztwo. Panna Ludwika Szczaniecka i pani Klaudyna Potocka, siostra insurgenenta hrabięgo Tytusa, miały być natychmiast aresztowane, skoro ośmięła się przekroczyć granicę, za to tylko, że w lazaretach warszawskich przez osiem miesięcy opatrywały rannych.

Zapowiadano konfiskatę majątków tych wszystkich hrabiów i obszarników, którzy gdy naród do boju wystąpił z orężem, przekradli się do narodu i wypełnili swój najnormalniejszy obowiązek. Doktor Marcinkowski, legendarny Arystydes poznański, musiał iść na wieloletnią banicję za to, że walczył na froncie nie tylko z Moskalami ale i z czarną zarazą (cholera morbus). Literatom wszystkim powrót do Wielkopolski wzbронiony, czy to poetom czy filozofom (heglista Wojciech Cybulski tryadycznie ciężko ranny). Już kiedy tylko wiadomość o upadku Warszawy przyszła do Poznania, Niemcy iluminowali. Na ulicach insultowano Boga ducha winnych. W Warszawie działały się podobno dzikie okropieństwa rozbestwionych kozaków. Aresztowanych masowo wyprasała u de Witta (amfitrjona eskapady po Czarnem morzu) pani Charlotta Sobañska... donna Laura czy Giovannina, czy jak tam, w każdym razie... reminiscencja...

Biorąc więc teraz całą tragedję i straszliwe następstwa listopadowej nocy, biorąc rozumowo i rozsądkiem (mędrca szkiełkiem i okiem), rację mieli jednak ci, którzy nie dali się porwać „atmosfera warszawskiej” a wcale nie panny Plater lub Szczaniecka i nie dwunastoletni Niegolewski lub czternastoletki Bentkowski, co dwa razy się wymknął przez zieloną granicę, wreszcie do Legji Akademickiej do brata się dorwał i przy baterji artyleryjskiej służbę odbywał. A jednak?

A jednak w swoim pamiętniku, pisząc

o tych szubienicach i o tych en etigie powieszonych przy ulicy Zamkowej w Poznaniu, dodaje pani Bogusława z Dąbrowskich Mańkowska: „Powieszeni byli dla polskiej ludności przedmiotem czci, młodzież szkolna zdejmowała czapki przechodząc koło szubienicy”.

Najprawdopodobniej zdjął także i swój cylinderek szary młody Wieszc, figurujący w Poznaniu pod pseudonimem: Adam Mühl. Choć bowiem via Rzym — Paryż — Drezno — Smielów — Komorze do powstania nie dojechał, choć po Piotrowemu potrzykroć się zaparł, choć po goethowsku olimpijską obojętność okazał, to jednak swoje sumienie obywatelsko-narodowe ponad miarę ludzką obciążył. Ale właśnie to obciążenie psychiczne, to załamanie tragiczne, ta bezsprzecznie i pozadyskusyjnie wina palenia cygara czy lulki w miesiącach Stoczka, Wawra, Ostrołęki, Termopil i Maratonu, ta właściwie zdrada, tak — zdrada, musiała w definitywnych konsekwencjach swoich wywołać tak głęboko wstrząsający proces psychiczny, z którego dopiero mogły powstać geniuszem natchnione najwyższe dzieła patriotycznej ekstazy, to jest drezdeńskie „Dziady” i paryski „Pan Tadeusz”. Bez utajonego ale całą istotę twórcy pochłaniającego i żrącego poczucia winy te arcydzieła dla ekspiacji i rehabilitacji — by nie powstały. Bez ośmiomiesięcznego bytowania wśród Grabowskich, Gorzeńskich, Turnów, Taczanowskich, Lubieńskich, Morawskich, Mycielskich, Bojanowskich „Pan Tadeusz” jest nie do pomyslenia. Zanom

w... Orenburgu, filaretom i filatom po lazaretach, szpitalach i na tułactwie i w nędzy... też się należała najwyższa moralna satysfakcja za...

Z tej przyczyny, moi panowie Uczeni w Piśmie, ważna jest też ta niewieścia postać, dzięki której okres Capuy przeciągnął się w długie miesiące. Sympatyczna bakalarzom czy niesympatyczna, grzesznica czy nie grzesznica, to już są szczególności bezwzględnie drugorzędne. Pierwszorzędny jest fakt, że ta Zatajona przyjaźnią niewstrząśniętą wielkiego poety cieszyła się przez przeszło ćwierć wieku. Już choćby dlatego brygada uczonych scholastyków nie ma najmniejszego prawa narodowi Zatajoną konfiskować i przemilczać. A nadto szczególnie pierwszorzędnym

jest, że nie była to ani żadna Circe, ani Venus Kowalska, ani Deibelka, „osoba nie wielka”, ani też z gatunku gości romantycznych, Ewuń i Marylek, faworyzowanych specjalnie przez archikastratów literackiej krytyki i historii.

### DOPIERO POCZĄTEK

Zmowie wszystkim dla jej przemilczenia czy wymazania trzeba wreszcie położyć kres i udowodnić opinii naprzekór, że to był w każdym razie ktoś ta Konstancja, z którą „najczęściej i najchętniej przestawał” i przy której się przez lat z górą dwadzieścia pięć zatrzymał.

Adolf Nowaczyński.



INSTYTUT  
BADAŃ LITERACKICH PAN  
BIBLIOTEKA  
00 359 Warszawa, ul. Nowy Świat 72  
Tel. 26-68-63



F

8516